

~~I. 44. 105~~ - 7. 505. 258

Dr. EUGENJUSZ BARWIŃSKI

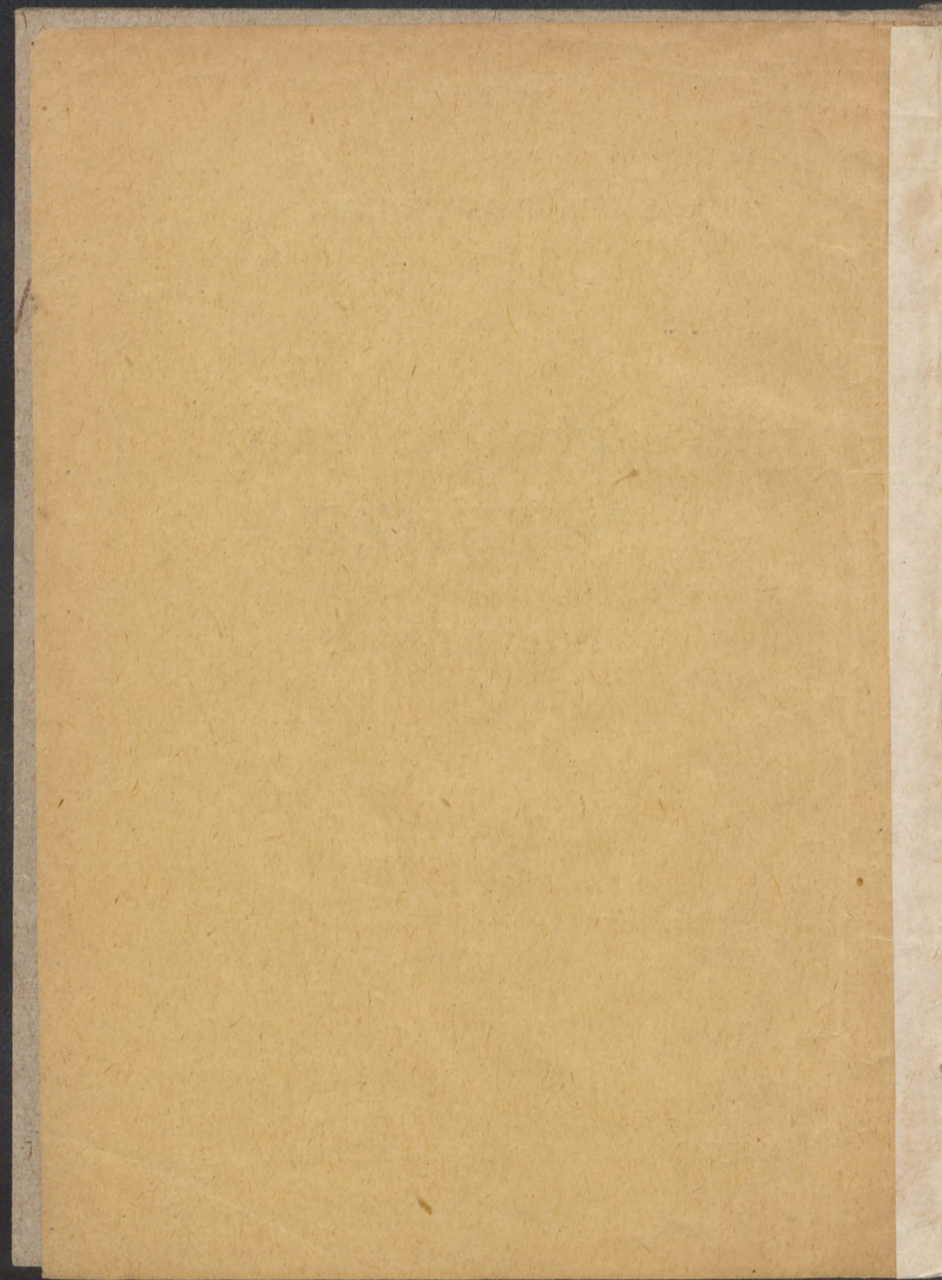
UKRAIŃSKIE SNY O POTĘDZE

Z ŻYCIA I AKTÓW



LWÓW 1922.

KSIEGARNIA NAKŁADOWA H. ALTENBERGA



Dr. EUGENJUSZ BARWIŃSKI

UKRAIŃSKIE SNY O POTĘDZE

Z ŻYCIA I AKTÓW



LWÓW 1922.

KSIĘGARNIA NAKŁADOWA H. ALTENBERGA

25p 270

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001007756267



~~I. 44.105~~

I. 505.258.

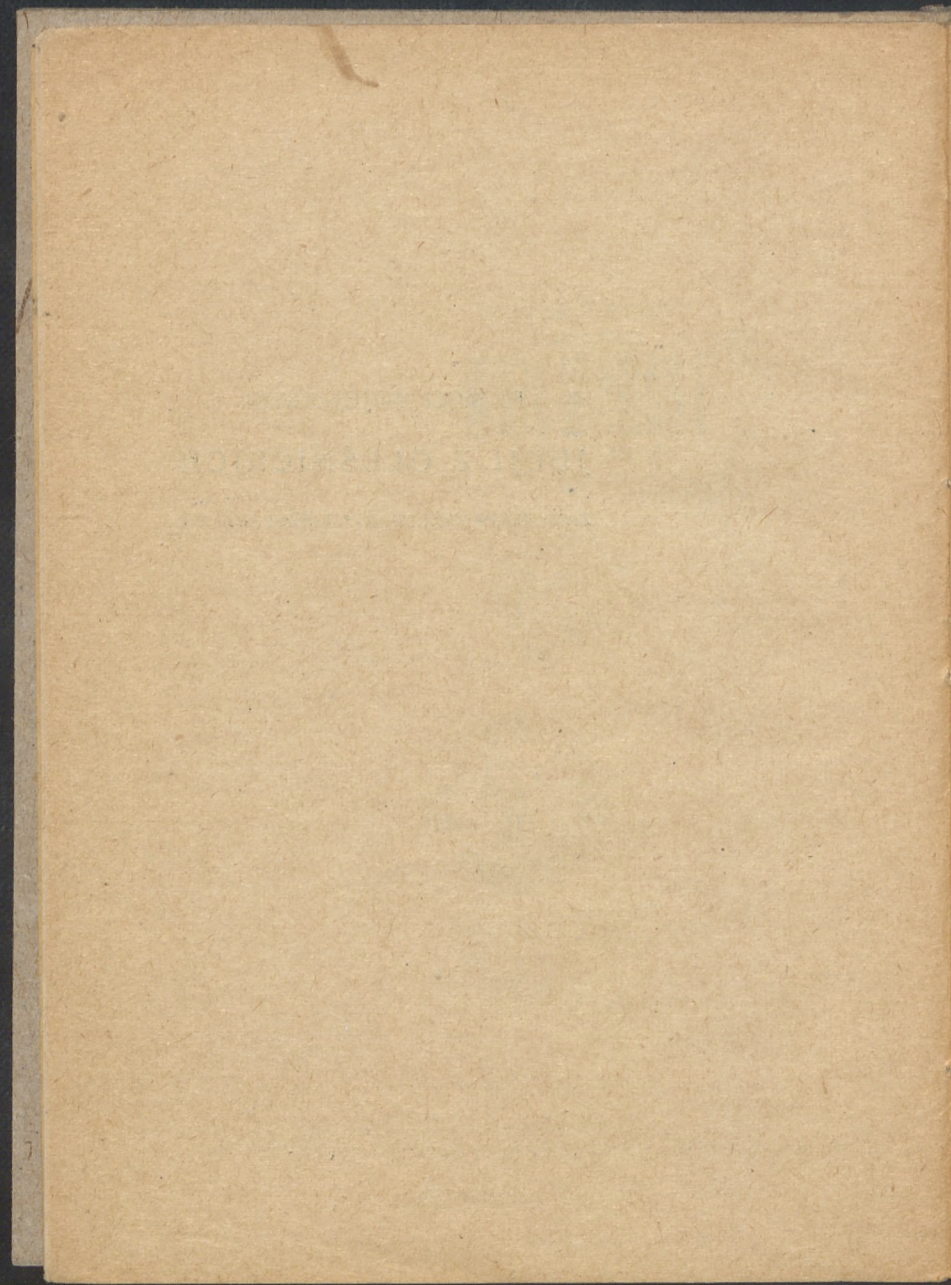
Z drukarni W. A. Szykowskiego, Lwów, Zimorowicza 14.

1449131

PAMIĘCI MOJEJ MATKI

JULJI Z OLEŚNICKICH

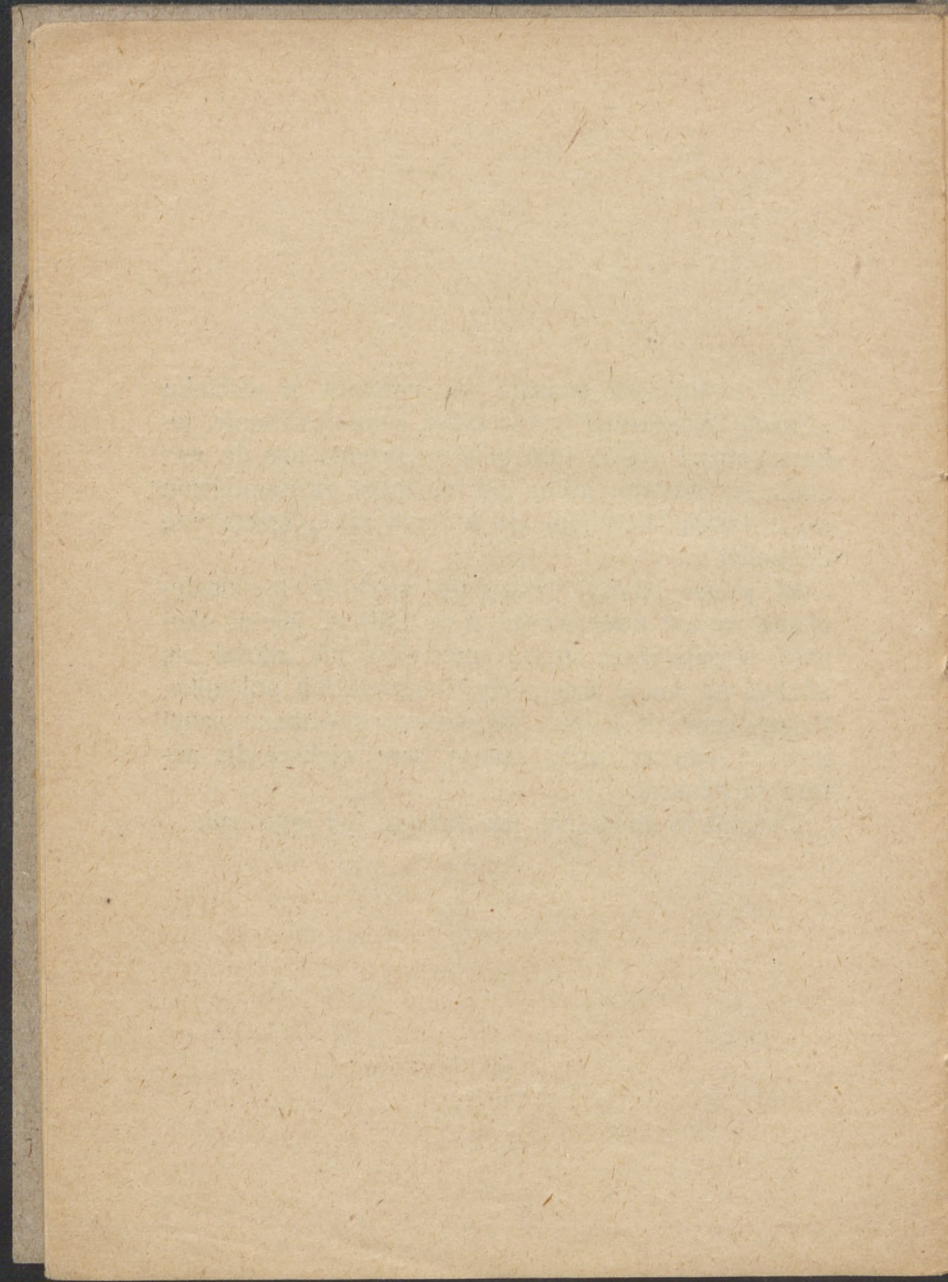
ZAMORDOWANEJ DNIA 19 LISTOPADA 1918



Rzecz niniejsza ukazała się najpierw w odcinku „Gazety Wieczornej“; niezwykle zainteresowanie, jakie obudziła wśród czytelników, skłania nas do wydania jej osobno, ażeby dać możność zaznajomienia się z treścią także tym, do których rąk „Gazeta“ nie dochodzi.

W prasie ruskiej wywołały artykuły te niesłychane wprost podniecenie. A że trafiony, jak się okazało, w najslabszą stronę przeciwnik nie zdołał się zdobyć na żadne argumenty rzeczowe lub polemikę, i ograniczył się jedynie do wylewu niepohamowanej złości i jadu na osobę autora, tem większa dla autora satysfakcja.

Okazuje to dowodnie, jak trafnym był jego sąd.



I.

»Narodzie bez opamiętanła, bez czci, powagi«. Te straszne słowa rzucił w twarz narodowi ruskiemu nie wróg narodu, ale jeden z najświetniejszych jego umysłów, głośny pisarz Kulisz. »Nienawidzę Ukraińców«. woła w chwili rozgoryczenia drugi koryfeusz ruski Franko.

A jednak na apostrofy tak gorzkie cały ten naród nie zasłużył. Nie zasłużył na nie ten, który jest istotą i rdzeniem narodu ruskiego, chłop, nie gorszy od innych, owszem lepszy nieraz, który tam, gdzie do niego jeszcze »inteligentni« uświadamiacze narodowi nie dotarli, ma w sobie coś z biblijnego patriarchy.

Ten to chłop, zwykle bierny, a z reguły przez inteligencję ruską dla swych celów nadużywany — a nie ta inteligencja, która mu swą politykę narzuca, jest tym narodem ruskim. Inteligencja jest produktem nowym; nie tak dawno jeszcze cała ona była niezmiernie nieliczna i głównie rekrutowała się z rodzin polskich niegdyś, z biegiem okoliczności zruszczały.

Gdy się przegląda szematyzmy unickiego duchowieństwa z pierwszej połowy XIX. w., niemal wy-

łącznie spotyka się dobrze znane nazwiska polskie, rdzennie szlacheckie. Wyznanie wówczas nie było jeszcze równoznacznem z narodowością, a gdy dzięki ofiarności szlachty polskiej w wschodniej Małopolsce było dużo tłustych prebend unickich, nieraz szlachcic niezamożny, liczną obarczony rodziną, chcąc jednemu z synów zapewnić przyszłość, posłał go na *studium rutenum*, tem chętniej, że święcenia obrządku greckiego nie wymagały bezżenności.

Tak powstawały kadry inteligencji ruskiej, stąd wśród dawnego duchowieństwa ruskiego spotykamy Oleśnickich, Bilińskich, Poznańskich, Szwedzickich i innych. W znacznej części długo ona jeszcze nie zatraciła poczucia związku z narodowością ojczyzną; sam jeszcze z lat dzieciennych pamiętam domy tak zw. „arystokracji księżowskiej“ gdzie językiem potocznym był język polski, gdzie chętniej przestawano z obywatelstwem okolicznem, niż z księżami »chłopowiczami«. Pamiętam dobrze dom jednego z takich patrijarchów, ks. Brylińskiego. Nazwisko jego wyczytać można na okładkach polskich publikacji, jak n. p. »Biblioteki Turowskiego«, gdzie figurował zawsze jako jeden z pierwszych subskrybentów nowości. Żona jego, również córka księdza, Poznańska z domu, posiadała najpiękniejszą i najbogatszą na Podolu bibliotekę nowości polskich, z której korzystało całe obywatelstwo okoliczne. A dom ten był wzorem cnót, przykładem; ksiądz był doradcą chłopu, ojcem, lekarzem duszy i ciała, do którego, jak do cudotwórcy ciągnął kmiotek z okolic dalekich.

Nie można przytem powiedzieć, by kiedykolwiek był w rozbieżności z celami narodu, któremu służył: przy wyborach szedł przeciw szlachcie, z którą żył, głosując na kandydata ruskiego — ale to nie wywoływało rozdzwiewu, bo każdy czczył w nim człowieka charakteru, szanował jego przekonanie.

Z czasem wszystko się zmieniło. Nowe, coraz liczniej tworzone gimnazja ruskie wydawały coraz więcej ruskiej inteligencji — ale coraz innym duchem ożywionej. Że rosło poczucie narodowe, że pielęgnowano język, literaturę, że urastały nowe cele, że dążono do ich urzeczywistnienia, to zupełnie naturalne, tego nikt za złe brać nie może. Ale wraz z tem uświadomieniem narodowem rosła żywiołowo i nienawiść do wszystkiego co polskie — ona też stała się jednym z głównych ruskich przykazań narodowych.

Jakie to dało rezultaty, okazują czasy obecne. Fedak, sprawca zamachu na Naczelnika Państwa, jest prawnikiem owego ks. Brylińskiego...

Oto co dała ewolucja stosunku narodu do narodu: posiew nienawiści, bezdennej, bezbrzeżnej...

Czy w nas jest wina? Czy i w duszy naszego narodu lęgnie się ten straszny jad?

Nie, stokroć nie! Nienawiść jest obcą duszy każdego prawego Polaka. Nie było jej dawniej, owszem, było w nas bezgranicznie wiele sentymentu do wszystkiego co ruskie. Wszak nie tak dawno, z ław szkolnych, wyniosłem wspomnienia, że nietylko nienawiści wzajemnej, ale i różnic między nami nie było.

Że niema w nas i dziś jeszcze, mimo wszystko, nienawiści, dowodów daliśmy niemało. Po owych strasznych listopadowych chwilach, kiedy nas zaszli znienacka, śpiących, 3 tygodnie długie pastwili się nad nami, chcąc wyrzeć nam to, co nam dopiero zaświtało — gdy przyszła chwila radosna wyswobodzenia czy daliśmy upust uczuciu nienawiści? Co by się stało było, gdyby w oswobodzonym mieście mieszkał inny naród, coby się było działo? czy nie ujrzelibyśmy na latarniach i drzewach dziesiątki tych, których widziało się jako pomocników naszych katów?

Nic z tego, Najwyższemu chwała, się nie stało; nie nienawiść wzięła wówczas w naszych duszach górę, lecz uczucie szczytne, radość, i ta kazała o wszystkim zapomnieć.

Niema wśród nas takich, którzyby z Golejewskim lat 60-tych wołali: niema Rusi! Nikt z prawych i rozumnych Polaków nie myśli przeczyć istnienia, za złe nie bierze, że naród drugi czuje, że nim jest, że nim być chce, że chce się rozwijać, swą samodzielną narodową pielęgnować.

Uważamy i uważać chcemy Rusinów za równowartościowych, równouprawnionych obywateli; autonomji żadnej tu nie potrzeba, boć te uprawnienia gwarantuje każdemu obywatelowi konstytucja Rzeczypospolitej. Ale jedno mamy zastrzeżenie, i od niego ani na jotę odstąpić nam nie wolno: żądamy, by chcąc korzystać z tych praw, uznali, że są obywatelami tej Rzeczypospolitej, że widzą w niej równo jak my, swą matkę i żywicielkę. Chcemy, by czynili tak, jak

czynił to w wieku XVI. Konstanty Ostrogiński, który choć interesów narodu ruskiego gorliwy opiekun, a unji zażarty przeciwnik i pogromca, synowi swemu, za granicę wyjeżdżającemu, dawał na drogę następującą naukę: „Pomnij zawsze i wszędzie, żeś synem tej Rzeczypospolitej Polskiej i obywatelem“.

Czy jednak jest naprawdę w całym narodzie ruskim zaszczerpiony ten jad straszny niezmierzonej nienawiści? Na szczęście nie, bo całym narodem niepodobna nazywać garstki, choćby sporej tych, którzy samowolnie jego przywódcami się okrzyknęli. Tych właśnie tyczą się gorzkie apostrofy Kulisza i Franki, nie rdzenia narodu — chłopca.

Tej nienawiści nie czuł do nas nigdy, a jeżeli niektórym z nich się zdawało, że ją czują, mówili tylko za dyktatem to, co podszeptali im agitatorzy; ten chłop dziś, w okolicach wolnych od złych doradców, otwarcie nam mówi, że nigdy mu tak dobrze nie było, jak dziś pod skrzydłami Rzeczypospolitej — a nigdy tak źle, jak w owych tragicznych chwilach, narzuconych sobie krwawych rządów własnych współrodaków.

I do tego to chłopca trafić musimy, przekonać go, że nie tam jego zbawienie, gdzie mu ukazują fałszywi prorocy, lecz że przyszłość jego jasna obok nas, razem z nami. I prawy Polak cieszyć się będzie, gdy przyjdzie czas, gdy na miejscu, gdzie znalazł się nasz chłop, będzie mógł zasiąść wolny z wolnymi, równy z równymi, prawdziwy przedstawiciel narodu ruskiego — ruski chłop.



Każda akcja w ostatnich lat dziesiątkach, zmierzająca do ułożenia stosunków między oboma narodami w kraju, dążąca do umożliwienia zgodnego i przyjaznego współżycia, natrafiała w naszym społeczeństwie na grunt podatny. Co więcej, był w nas zawsze ogrom optymizmu, który kazał wierzyć w szczerść zamiarów drugiej strony. Ale tem przykrzejszy był zawsze zawód — przekonywaliśmy się niejednokrotnie, że to, co za szczerą chęć uważaliśmy, było tylko podejście niegodne, obliczone na efekt, na uspienie, na omamienie nas.

Historia vitae magistra. Z niej naukę wyciągnąć należy, skoro się tylko uda dotrzeć do prawdy, ukazać oblicze prawdziwe tego, co było ciemnem i zakrytem.

Pamiętam dobrze głośny w roku 1890 wypadek takiego pojednania. Akcja ta rozegrała się na terenie sejmowym: przedstawiciele ruscy, jak się zdawało, szczerą wiedzeni intencją, wyciągnęli ku nam rękę do zgody. Nie było w ich enuncjacjach wprawdzie nic tak dalece uchwytnego i pozytywnego, ale przejęci optymizmem widzieliśmy w nich zapowiedź pięknej przyszłości.

Akt ten, zwany przez Rusinów „nową erą“, przyniósł im wielkie sukcesy: koncesje językowe, zwiększenie liczby mandatów poselskich do parlamentu, a przedewszystkiem zapewnił im naszą zgodę na otwarcie nowych gimnazjów ruskich. To było dla nich największą zdobyczą, która ogromnie zaważyła w przyszłości, gdyż umożliwiło im to wyprodukowanie

ogromnego przyrostu inteligencji. My daliśmy się unieść optymizmowi, wierząc w ich dobrą wiarę poszliśmy na lep, i miast obiecanej zgody otrzymaliśmy coraz obfitszy posiew nienawiści, dzięki nam samym wzmocnionego nie przyjaciela, ale nadal zapamiętającego przeciwnika.

Dziś możemy wydobyć na jaw i oświetlić motywy tego kroku ruskiego. I dopiero na podstawie zazdrośnie dotąd strzeżonych tajnych aktów zajrzawszy prawdzie w oblicze, z przerażeniem i wstrętem wzdrygnąć się przychodzi przed potwornością tej fides graeca.



II

Okolo roku 1888 europejski horyzont zaciagał się nieustannie niepokojącymi chmurami. Oczekiwano częścią z obawą, częścią może nawet z niecierpliwością wybuchu wojny z Rosją. Głównym przeciwnikiem Rosji w tej walnej rozprawie miała być niewątpliwie Austrja, gdyż Galicja była zawsze dla białego cara powodem niespokojnych snów.

Wprawdzie Austrja wraz z swoim sojusznikiem była o losy tego starcia zupełnie spokojną, tak dalece, że nawet już skórę na niedźwiedziu dzielono, zamierzając z przewidzianej zdobyczy utworzyć księstwo Kijowskie (plan Hartmanna-Bismarka) niemniej jednak odczuwano potrzebę przygotowania się na wszelki wypadek, przedewszystkiem zaś konieczność zabezpieczenia sobie tyłów.

Mimo wszystko niezupełnie pewną jeszcze była Austrja w Galicji swych, jak ich często zwano, „Tyrolczyków wschodu“ — Rusinów; ta sama niepewność, która jeszcze Metternichowi kazała mieć się przed nimi na bacności, i dziś, mimo ich wszystkich wytrwale ponawianych zapewnień o niezłomnych uczuciach wiernopoddańczych, kazała mieć co do nich pewne wątpliwości.

Trzeba więc było koniecznie przedsięwziąć jakąś akcję, któraby ich szczególniej związała, bezpowrotnie odstrychnęła od tej ostatniej ucieczki — białego cara — trzeba im było ukazać jakieś szczególnie ponętne widoki, któreby kazały im stanowczo, szczerze i bezpowrotnie zapomnieć o tamtych, choć tylko głęboko na dnie duszy utajonych snach.

Była pod tym względem wypróbowana dobrze i zwyczajem uświęcona piękna tradycja, że tego rodzaju zasadnicze sprawy załatwiano zawsze nie programowo, jasno i otwarcie i przy współudziale powołanych do tego ciał i osób, lecz cichaczem, ukradkiem, a zawsze poza plecami tych, na których się głównie opierano, — bo z ich szkodą, a przedewszystkiem przez czynniki nieodpowiedzialne, tak ażeby w razie potrzeby, na wypadek wyjścia na jaw kompromitującej machinacji, łatwo było można wyprzeć się wszystkiego i złożyć wszystko na prywatną i nieodpowiedzialną inicjatywę.

Tak było i w Galicji. Reprezentacja polska od owego: „przy Tobie, Panie, stoimy“, była zawsze wierną i wypróbowaną podporą korony i na niej przedewszystkiem większość rządowa w parlamencie zawsze się opierała, miała korona w Galicji zaufanego i oddanego sobie namiestnika.

A jednak, zamiast przy rozstrzygnięciu tak ważnej i żywotnej kwestji zawezwać oddanych sobie do rady, omówić z ich przedstawicielami jej szczegóły, poczęto rzecz cichaczem, poza ich plecami, w najwyższej tajemnicy, aby broń Boże niczego się nie dowiedzieli.

Rząd myślał: Polaków już się ma, oni bez restrykcji stoją przy rządzie i stać koniecznie muszą — ich nie stracimy; trzeba jeszcze koniecznie Rusinów pozyskać — mniejsza o to, choćby nawet ze szkodą Polaków. Zaaranżuje się rzecz tak, że się o niczem nie dowiedzą, a gdy się rzecz wyjawia i staną wobec fait accompli, zgodzić się będą musieli; a jeżeli się jednak nie na wszystko zgodzą, niekoniecznie wszystkich luźnych przyrzeczeń będziemy musieli Rusinom dotrzymać.

Toż wierny obraz polityki rządu austriackiego wobec wszystkich wiernopoddańczych sobie narodów.

Osobą działającą był u nas dawno zapomniany, swego czasu smutno w naszej pamięci zapisany Karol Wolfarth, osławiony towarzysz Breinla i Milbachera. Usunięty na wyraźne żądanie Gołuchowskiego ze służby galicyjskiej, znalazł się zaraz potem w służbie konsularnej w Odessie i Warszawie; za Mensdorfa wrócił znów do Galicji, był starostą w Kołomyży i Złoczowie. Gdy Gołuchowski powtórnie miał zająć stanowisko namiestnika Galicji, przeniesiono Wolfartha do Wiednia, gdzie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych doszedł do bardzo wpływowego stanowiska szefa biura informacyjnego.

Na zawsze pozostanie oczywiście tajemnicą, czy akcji tej w sprawie ruskiej podjął się z własnej inicjatywy, czy też z wyższego polecenia. Znając jednak tok spraw, skłonni raczej jesteśmy przypuścić, że ujął rzecz w swe ręce wskutek nakazu z góry. To rzecz pewna, że misja ta nie była mu niemiłą, wydarzała

się bowiem okazja machinacyj przeciw Kołu Polskiemu, na którego przemożne wpływy patrzył tak niechętnie.

Zwrócił się jednak nie do polityków ruskich, ale znów w myśl tradycyi do czynników nieodpowiedzialnych; wyszukał sobie starego dyrektora gimnazjum w Radowcach, Mikołaja Ustjanowicza, autora kilku powieści, który w polityce ruskiej czynnego udziału nie brał. Z korespondencji widać, że łączyła ich dawna już znajomość.

Jakie ściśle biorąc były żądania Wolfartha i do jakich misji zamyślał użyć Ustjanowicza, nie da się sprecyzować, dość, że jasno widzimy same rezultaty: Ustjanowicza w roli agenta Ministerstwa Spraw zagranicznych. A cała akcja Ustjanowicza wogóle byłaby minęła bez śladu, gdyby nie czyjaś niedyskrecja, która spowodowała przedwczesne odkrycie machinacyi i przykrą dla Wolfartha kompromitacją.

Ustjanowicz miał przedstawić Ministerstwu memoriał o stanie sprawy ruskiej i o stosunkach politycznych wśród nich panujących. Gdyby o to tylko chodziło, mógłby być spokojnie w Radowcach zasiąść do biurka; ale to co właśnie uczynił i co zupełnie przypadkowo i wbrew jego i Wolfartha woli i intencji wyszło na jaw, świadczy właśnie, że cel jego misji był znacznie obszerniejszy i odpowiedzialniejszy.

Udaje się natychmiast do Lwowa, w czasie kiedy z okazji obchodu rocznicy zgonu Szewczenki odbył się liczny zjazd wybitnych przedstawicieli społeczeństwa ruskiego. Tu wchodzi w kontakt z politykami!

ruskimi i jak sam przyznaje w swem tłómaczeniu się, odbywał z nimi konferencje, udzielał wskazówek i rad.

Rzecz jasna, że nie o zebranie informacji do memorjału tu chodziło, lecz o propagandę i o poczynienie obietnic w imieniu Wolfartha. Tam poinformował przywódców o zamiarach rządu, który gotów był do koncesji na rzecz Rusinów, przyczem ukazał w niedalekiej przyszłości nadzieję spełnienia najbardziej upragnionego celu Rusinów: podziału Galicji.

Oczywiście obietnice takie, czynione przez czynniki nieodpowiedzialne, nie wielkie mogły mieć znaczenie. Niemniej jednak wśród Rusinów zrobiły one niemałe wrażenie: toż przecież Ministerstwo wchodzi z nimi w pertraktacje!

Oczywiście było tam i do ut des: główną rzeczą, której rząd wymagał, było żądanie solennego odprysiężenia się stosunków z Rosją.

Celem objaśnienia rządu o stosunkach między Rusinami i ich zapatrywaniach, przekonania go, jakie intencje ożywiają ogół narodu, przedstawił Ustjanowicz obszerny memorjał. Wprawdzie nosi on jego podpis, ale już to tylko, że w sprawie tej tak intensywnie komunikował się z przywódcami ruskimi, wskazuje dowodnie, że memorjał ten uważać się musi za coś więcej, za enuncjację zbiorową wszystkich działających polityków ruskich.

Oni więc wszyscy ponoszą odpowiedzialność za jego treść.

III

Memorjał podnosi na wstępie te liczne dobrodziejstwa, jakie spłynęły na naród ruski za czasów rządów absolutnych: dzięki wspaniałomyślności Monarchy zdjęto z ludu kajdany pańszczyzny, w których jęczał, rząd dbały o dobro narodu dał mu możność rozwoju i oświaty.

Pod przewodnictwem patriotycznego, ślepo rządowi oddanego duchowieństwa, rosła w kraju oświata, setki szkół wywarło zbawienny wpływ na ludność, tem bardziej, że nauczycielstwo i duchowieństwo zgodnie zmierzały do jednego celu: budzenia poczucia narodowego i utwierdzenia lojalności i dynastycznych uczuć. Ten sam duch ożywił i szkolnictwo średnie, nie było w nich żadnej polityki, dojrzała młodzież opuszczała szkoły z silnie utwierdzonem poczuciem austriackiej idei państwowej i postanowieniem być jej wiernymi i działać w jej interesie.

Błogosławione te chwile skończyły się bezpowrotnie z nastaniem ery konstytucyjnej, gdy naród ruski wpadł w polską niewolę.

Odebranie duchowieństwu rządów w szkole, ustanowienie Rady Szkolnej krajowej, było klęską Rusi-

nów; język niemiecki, który był podstawą wykształcenia, usunięto na szary koniec, a fala polonizacji i latynizacji zalała cały kraj. Autorytet duchowieństwa ruskiego podkopuje się nieustannie, podkopuje się jego powagę u ludu. Wszystko to dlatego, że Rusini nie chcą się zapalić do polskich ideałów i rozpląnąć w polskim morzu, ale pragną pozostać na zawsze w związku z Austrią, z austriacko-niemiecką kulturą.

Rusinów majoryzuje się celowo i planowo w parlamencie, w sejmie, w ciałach autonomicznych, organy rządowe postępują ruskie uczucia narodowe, jedynie tylko polskie interesy ma się na względzie. Gwałci się Rusinów w szkole i urzędzie, polonizuje się konsekwentnie, a na domiar rzuca się na nich podejrzenia, że są wrogo usposobieni wobec państwa i kościoła katolickiego, pomawia o zdradę stanu, a wszystko w tym celu, ażeby przez odpowiednio zabarwione sprawozdania zakryć przed rządem prawdziwy stan rzeczy i odebrać Rusinom zaufanie Cesarza.

Nie jest prawdą, jakoby wśród Rusinów galicyjskich były sympatje do schyzmy; jeżeli opierają się różnym zakusom polskim, to tylko dlatego, że pod pokrywką katolicyzmu propaguje się polonizacją.

Pomawia się Rusinów o dążenia antypaństwowe. I to nie jest zgodne z prawdą. Kto nie dmie w polskie dudy, kto wobec całego świata nie manifestuje się jako gente rutenus natione polonus, tego pomawia się zaraz o antypaństwowe, zdradzieckie knowania.

Wszystko to dlatego, że Rusinom wstrętną jest myśl odbudowania Polski.

Dowodzą, że Rusinom brak sił żywotnych do samodzielnego istnienia; ażeby nie wsiąkli w Rosję i nie byli dla Austrii groźni, muszą paść ofiarą Polski, przedmurza panrusycyzmu.

I to nie prawda, Ruś ma swoją dawną świetną przeszłość i dąży do samodzielności. Jeszcze jakiś czas udaje się chłopa wódką i groźbą wyzyskiwać dla polskich celów — ale większość wierzy w lepszą przyszłość i w to, że ona nie przy Polsce, ale przy Austrii, którą nauczyła się kochać, od której oczekuje nie polskiej, ale ruskiej polityki.

Na wsi ma inteligencja zaufanie ludu, idzie z nim ręką w rękę, dąży do jego podniesienia ekonomicznego, oświaty. To jest solą w oku Polaków, a gdzie tylko jest dwór, folwark, polscy urzędnicy i nauczyciele ludowi, wszędzie łączą się solidarnie przeciw ruskiej inteligencji, starają się ją u ludności zdyskredytować, stawiać przeszkody ich narodowej i kulturalnej działalności, podać ją w podejrzenie, denuncjować. Mając poparcie ze strony polskich urzędników, zawsze przy wyborach przeprowadzają w gminie oddane sobie indywidua, czyniąc je powolnymi sobie groźbą, obietnicami, przekupstwem; protesty u władz politycznych na nic się nie przydadzą. Ludność ruska z najwyższym rozgoryczeniem patrzy na te gwałty i wymuszenia; nic dziwnego, że budzi się w niej niechęć i zniecierpliwienie. Ten stan najwyższego rozprężenia w kraju trwać będzie tak długo,

i zwiększać się, jak długo rząd mu nie zapobieże i kresu nie położy.

Rząd musi się poważnie zastanowić nad tem, na kim ma się oprzeć; powinien wyciągnąć naukę z stosunków w roku 1848, kiedy dzięki polityce rządu byli jedynie tylko c. k. Rusini. Wtedy ruskość była w modzie, a przychylna wobec nich akcja rządu spoczywała w rękach doświadczonych urzędników Niemców, co budziło u ogółu Rusinów zaufanie. To też nie dziw, że i naród był oddany rządowi bez zastrzeżeń, że rząd zawsze i w każdej sprawie mógł liczyć na jego wierność i poparcie swych celów.

Memorjał ten przedstawia więc Rusinów jako najwierniejszych poddanych, którym ani w głowie nie powstała myśl o odpadnięciu od Austrii lub samodzielności, bo za najwyższe swe szczęście uważają to, że żyć mogą pod berłem habsburskiej dynastji. Są więc oni najpewniejszą jej oporą, nie tak jak Polacy, wieczni rewolucjoniści, którzy mimo pozornego oddania i wierności zawsze myślą o niepodległości i tylko czekają na odpowiednią chwilę.

Była to więc całkiem wyraźna denuncjacja i wskazanie, że rząd źle czyni, opierając się na Polakach, gdyż ci mogą w decydującej chwili zawieść (vide rok 1848) a powinien oprzeć się na Rusinach i uporządkować stosunki w kraju — czytaj: ograniczyć władzę Polaków...

Noli imperito negotium tradere. Ci, którzy około tej intrygi chodzili, na szczęście nie umieli języka utrzymać za zębami. Ogół widział wprawdzie, że coś

się święci, że odbywają się zgromadzenia ruskie, że zwołują się zjazdy i wiece; ale dopiero gdy organ moskalofilski „Czerwona Ruś“ począł przebąkiwać o tem, że rząd podobno rozważa plan podziału Galicji i że wrzekomo już nawet miał Rusinom w tym względzie poczynić pewne obietnice, gdy podobne wiadomości podały i „Narodni Listy“, ogół już poważnie zaniepokojony począł się dopytywać, co jest na rzeczy.

Stanowisko namiestnika Badeniego było wówczas bardzo silne, więc licząc się z tem, w tonie dość ostrym zwrócił się do Ministerstwa Spraw wewnętrznych z przedstawieniem, że w Galicji od dłuższego czasu krążą uporczywie wieści, w wysokim stopniu niepokojące ludność, jakoby objawiająca się świeżo a bardzo ożywiona agitacja wśród Rusinów, narady i wiece, na których głównym tematem jest dążenie do podziału Galicji, miały swe źródło w poduszczeniach, a nawet w obietnicach poczynionych przez nieodpowiedzialne czynniki, ale za którymi ma stać Ministerstwo Spraw zagranicznych; panuje powszechne przekonanie, że cały plan tam się urodził.

Jak z góry można było przewidzieć, rząd wyparł się wszystkiego i upoważnił Badeniego do ogłoszenia jak najbardziej kategorycznego zaprzeczenia, że na całej pogłosce niema ani krzty prawdy. Wolfarta czekały przykrości tłumaczenia się, że tak niezręcznie tę delikatną sprawę poprowadził.

Choć niedyskrecja wyjawiała całą intrygę przedwcześnie i plan bądź co bądź mocno popsuła, niemniej

nawiązane raz konszachty trwały dalej. Dano Rusinom do zrozumienia, że jeżeli chcą wogóle liczyć na opiekę rządu, cieszyć się jego względami i kiedyś w przyszłości osiągnąć to, co jest ich najgorętszym pragnieniem, podział Galicji, to muszą koniecznie urbi et orbi ogłosić, że z Rosją nie mają nic wspólnego, uroczyście wyprzysiądź się cara i schizmy.

Aktowi temu trzeba było nadać cechę szczególnie uroczystą, wybrano więc do tego najbliższą sesję sejmową. A spełniając życzenie rządu, uczyniono to w tej formie, ażeby i djabłu, t. j. Polakom zaświecić świeczkę.

Zainscenizowano więc całą manifestacją tak, że nadano jej pozory pojednania z Polakami. Uczyniono to tak podstępnie, ażeby uwierzyli, że chodzi tu o zgodę i nie przeczuli nawet, że akcja cała w swej całej istocie i swych motywach jest właściwie przeciw nim i ich najżywotniejszym interesom zwrócona.

Jedna dłoń wyciągnięta do uścisku, w drugiej ukryty sztylet...

IV

Na sesji listopadowej sejmu w roku 1890 wystąpili ruscy posłowie sejmowi z biskupami Sembratowiczem, Stupnickim i Pełeszem na czele, z deklaracją, w której w 5 punktach określili stanowisko narodu ruskiego w Galicji oraz główne wytyczne jego polityki. Główną treścią tego programu było zaakcentowanie samodzielności narodu i odrębności jego od narodu rosyjskiego, przynależności do kościoła katolickiego i wierności dynastji. O stosunku do Polaków właściwie nic tam nie było.

Słowa te reprezentantów ruskich — jakiegokolwiek one były — padły na grunt w najwyższym stopniu podatny. Jak bardzo spragnionem zgody było nasze społeczeństwo, jak bardzo z najwyższą życzliwością był przyjmowany każdy krok z tamtej strony, dowodem jest i dyskusja sejmowa i głosy prasy. A podnieść należy, że byliśmy wtedy tylko stroną dającą, nikt nas nie zmuszał wówczas, byśmy cośkolwiek z naszego stanu posiadania uronili — dawaliśmy, co uznawaliśmy za słuszne, z dobrej woli, z szczerego serca. Nikt nas nie zmuszał, byliśmy *beati possidentes*, staliśmy w monarchji u szczytu potęgi, Koło Pol-

skie we Wiedniu było u szczytu znaczenia i wpływu w parlamencie, cieszyło się pełnem zaufaniem cesarza.

Jak bardzo byliśmy optymistami i jak ślepo wierzyliśmy w szczerść uczuć strony przeciwnej, dowodem, że dopatrywaliśmy się w tej enuncjacji tego, czego tam nie było — szczerego dążenia do zgody.

Zimną rozważę zachowała wtedy jedynie „Gazeta Narodowa“, mająca ze wszystkich wówczas wychodzących we Lwowie dzienników najwięcej wyrobienia politycznego: „W pięciu punktach manifestu nietylko niema ani słowa wzmianki o jakiegokolwiek wspólności z polskim narodem, choćby tu tylko na jednej ziemi, ale niema nawet mowy o kraju. A jednak autorowie manifestu i manifestacji sami sną czują dotkliwie luki, jakie się znajdują w ich programie, skoro manifest mówi o polskich objawach sympatji dla nowego kierunku, jako dowodzie trafności tegoż — sympatjach, dla których zaiste nie było dotąd zbytniego powodu“.

Tę rezerwę wzięto „Gazecie“ wówczas za złe, mówiąc, że niepotrzebnie psuje nastrój i że jest zawsze wobec Rusinów nieprzejednana. Natomiast „Przegląd“ z entuzjazmem mówi o tej akcji i wierzy, że „słowa przemienią się w czyn i po długich latach waśni rodzinnej sprowadzą na nasz kraj błogosławieństwo pokoju, w zgodzie, jedności, miłości oba pokrewne szczepy, złączone wiekową tradycją dziejową, spojone jedną wiarą, sławne wspólnemi zwycięstwami, cieszące

się wspólnemi radościami i cierpiące jedne i te same niedole“.

Ten optymizm udzielił się i całej naszej reprezentacji sejmowej — jednomyślnie przyjęto manifestacją tę szczerem i gorącym sercem.

Gdyby grunt był mniej podatnym, a optymizm mniejszym, niewątpliwie przyjętoby tę deklarację z nieco większą rezerwą — tem bardziej, że z głosów posłów ruskich wnioskować trudno było, że pojmują ją jako akt dla przyszłości kraju tak bardzo doniosły.

Wprawdzie metropolita Sembratowicz, którego później za dążenia do zgody ruscy klerycy obrzucili zgniętymi jajami, mówił, że „z duszy serca pragnie, aby stosunki do Polaków były szczerze i serdeczne, bo jesteśmy braćmi po wierze, ziemi i ojczyźnie, i dlatego jeżeli kochamy własny naród i pragniemy dla niego dobra, powinniśmy się starać popierać tych, którzy kochają swój“ — ale już Teliszewski ledwie wspominał, że przyszłość narodu ruskiego w Austrii w zgodzie z bratnimi narodami słowiańskimi — a „enfant terrible Rusinów Syczyński (ojciec mordercy Potockiego) i teraz jeszcze nie był zdolny od powstrzymania się od wycieczek: „odkąd Polacy powiedzieli: przy Tobie stoimy, cała polityka austriackich mężów stanu dążyła do tego, aby Rusinom nawet nie dać stać“.

Ze strony polskiej nie padł ani jeden głos, nie to protestu, ale nawet zastrzeżenia; wszyscy witają enuncjację ruską z radością, a nawet z entuzjazmem.

Wytrawny Madeyski zauważa: mniejszą część programu zajmuje określenie stanowiska ruskiego do Polaków; i słusznie, nam sformułowania nie trzeba. Sformułowała je dawna nasza wspólna przeszłość dziejowa. Jeżeli zwolennicy programu ruskiego są gotowi iść z nami, to my Polacy byliśmy zawsze i jesteśmy gotowymi do wspólnej pracy dla dobra narodów. Enuncjacją nazwał zwrotem w polityce.

Biliński z radością wita słowa, jakie padły z ust Rusinów; usłyszeliśmy słowa, które w znacznej części mogły nas zadowolić.

Kozłowski wyobraża sobie stanowisko Polaków i Rusinów zrosłych od wieków na tej wspólnej ziemi, jakoby dąb wielki o dwu konarach. Dąb jak był połączony, tak jest połączony i tak stać powinien, i da Bóg, stać będzie na wieki. Zrosiliśmy na tej ziemi razem, historia nasza jest wspólna i losy nasze wspólne, i jakkolwiek przyszłość Bóg nam przeznaczy, egzystować musimy wspólnie. Dotrzymajcie programu, a wtedy i my szczerze i otwarcie podamy wam dłoń do wspólnej pracy dla dobra kraju i ludu.

Sanguszko raduje się, że padły słowa zgody i pojednania, które utwierdziły nas i przekonały, że przy wzajemnej dobrej woli mogą dwa plemiona bratnie żyć społecznie na jednej ziemi, w pokoju i wzajemnym szacunku.

Nawet Golejewski woła, że dla narodu ruskiego mamy wszystko do dania i żadnej koncesji nie będziemy im odmawiali, lecz owszem, będziemy się starać popierać zawsze ten naród.

O większą serdeczność trudno chyba było — bije ona z każdego słowa, jakie tylko padło w tej chwili z polskiej strony.

Jakież były rezultaty? Jakież być mogły wobec tego, że tak zatrute było źródło, z którego płynęła ta obłudna komedja — bo o większą obłudę chyba trudno!

Jak już wspomnieliśmy, korzyści z tego fikcyjnego pojednania odnieśli Rusini niemałe. Stronnictwo „nowoerzystów“ cieszyło się dużem poparciem sfer rządzących, przedstawiciele tego kursu weszli przy najbliższych wyborach do parlamentu w zwiększonej liczbie, a dzięki poparciu Koła Polskiego uzyskali znaczenie i koncesje, o jakich dotąd nawet zamarzyć nie mogli. Znaleźli i poparcie Sejmu, uzyskali przedstawiciela w Wydziale krajowym, reprezentanta w Delegacjach, udział w ważnych komisjach parlamentarnych, katedrę historii ruskiej i drugą literatury ruskiej na uniwersytecie lwowskim, a przede wszystkim zgodę naszą na tworzenie nowych gimnazjów ruskich. Te tak ośmieszane przez przeciwników „nowej ery“ gimnazjalne „paralelki“ były dla Rusinów znaczenia niesłychanego, gdyż umożliwiły produkcją licznej inteligencji.

Nam obłudna ta akcja nie dała nic. Przeciwnie, wzmacniała tylko przeciwnika, który ciągnąc z tego, jak długo się dało i gdzie się tylko dało, korzyści dla celów publicznych i interesów prywatnych, przyciszył się, po to tylko, aby, gdy trochę wzrósł w siły, odkryć przyłbicę i zawołać: Za San z Lachamy!

Hasło to było już jawną zapowiedzią nowego, a tym razem p r a w d z i w e g o programu ruskiego. Poczynają się konszachty już nie tylko z Wiedniem, ale najpierw nieśmiało z konsulem pruskim we Lwowie Spesshartem, później coraz śmielsze z Berlinem, z Ostmarken-Vereinem. W czasie wojny zasypują denuncjacjami antypolskimi i Berlin i Wiedeń, pełnemi bezczelnych fałszów jak np. wielki memoriał reprezentacji ruskiej wręczony rządowi austriackiemu pt. „Hat sich die polnische Regierung in Galizien bewährt“.

Używał tym denuncjacjom bardzo życzliwie ucha namiestnik generał Collard, który snuł nieustannie plany, jakby Polaków pognać. Śmierć jego popsuła intrygantom szyki, gdyż następca jego gen. Diller, gentleman w każdym calu, poznaawszy prawdziwe stosunki, nie krył się z żywą do nas sympatją i dawał jej nieustanny wyraz za swoich rządów, a jawne świadectwo po ustąpieniu swem w mowie wygłoszonej w Izbie Panów.

Ale machinacje nie ustawały, a widomym ich rezultatem i koroną był haniebnny traktat brzeski...

I gdy rozpadł się w puch wraz z monarchją habsburską, ginący płaz jeszcze w chwili konania chciał zadać nam swym jadem cios ostatni, oddając swym pupilom wszelki materiał wojenny, przeciw nam, w śnie pogrążonym, a uprzednio przez siebie z broni zupełnie ogołocnym.

Był więc ten skrytobójczy napad listopadowy jedynie dziełem tej niecnej koalicji. Nie był przecież

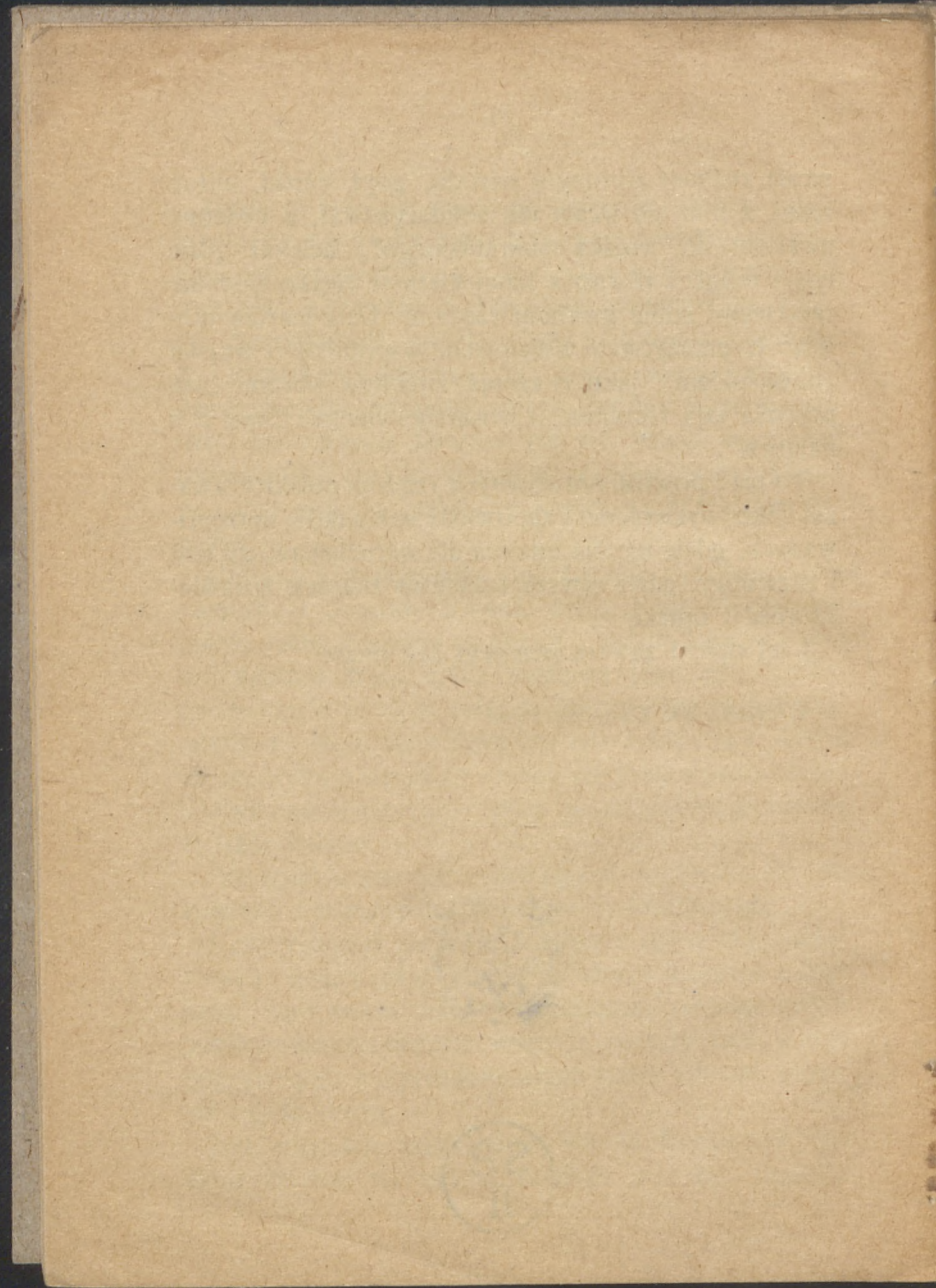
wcale ruchem zbrojnym narodu, gdyż naród, chłop ruski, z nim się wcale nie solidaryzował, a pędzony gwałtem do wojska „ukraińskiego“, uciekał gdzie tylko mógł, i równo z nami cierpiał ciężko pod narzuconemi sobie gwałtem rządami. Dziś jeszcze mówiąc o przeżyciach wojennych, wspomina o wojsku „ukraińskim“ jako o czemś zupełnie obcem: „jak przyjsza taja Ukrajina“ i otwarcie twierdzi: „nasi byli najgorsi“.

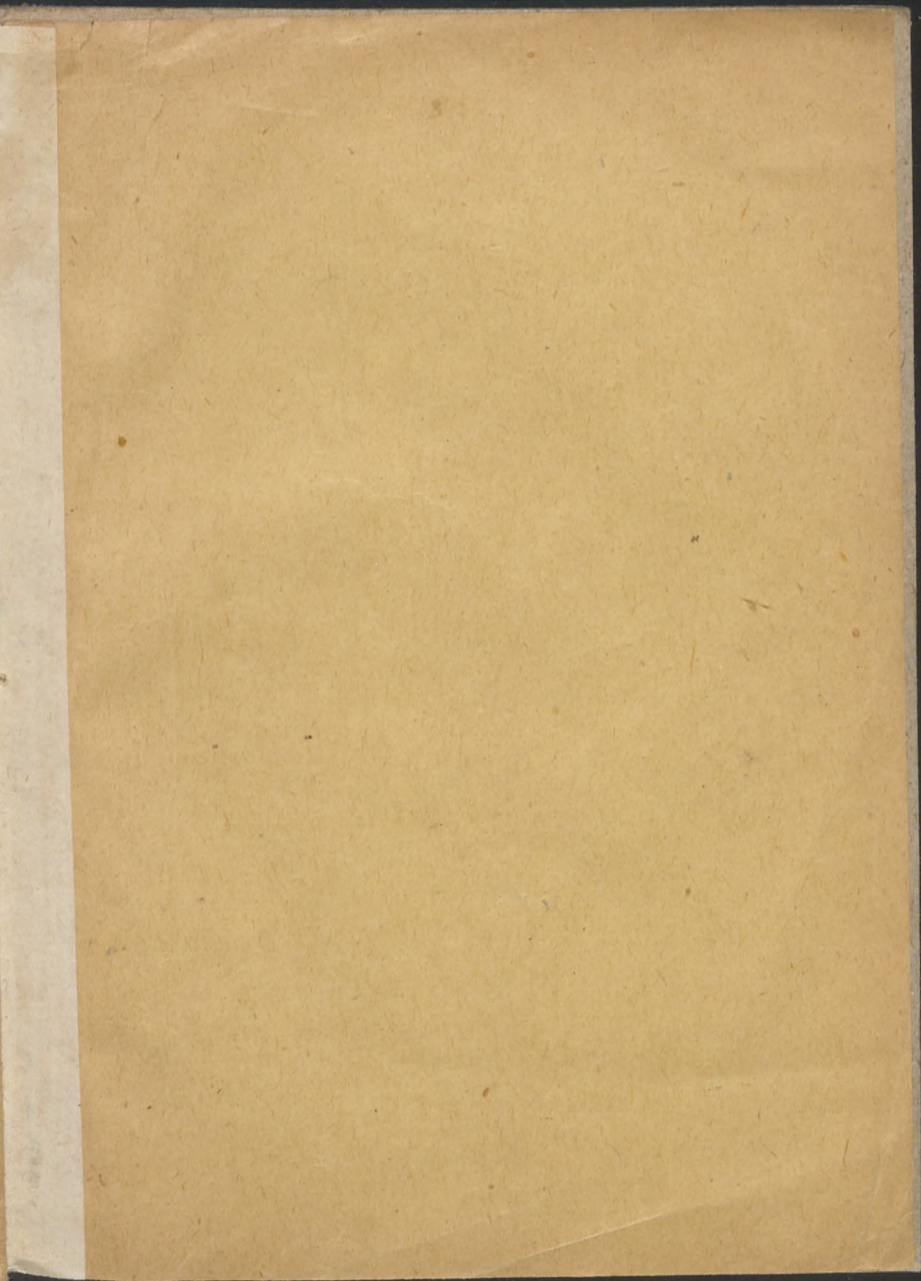
To też i powrót prawowitych rządów polskich uważał jako wyzwolenie i zapowiedź stosunków unormowanych, gdzie nie ma miejsca dla okrucieństw, gwałtu i przemocy, gdzie zawsze uciśniony znajdzie sprawiedliwość i opiekę.

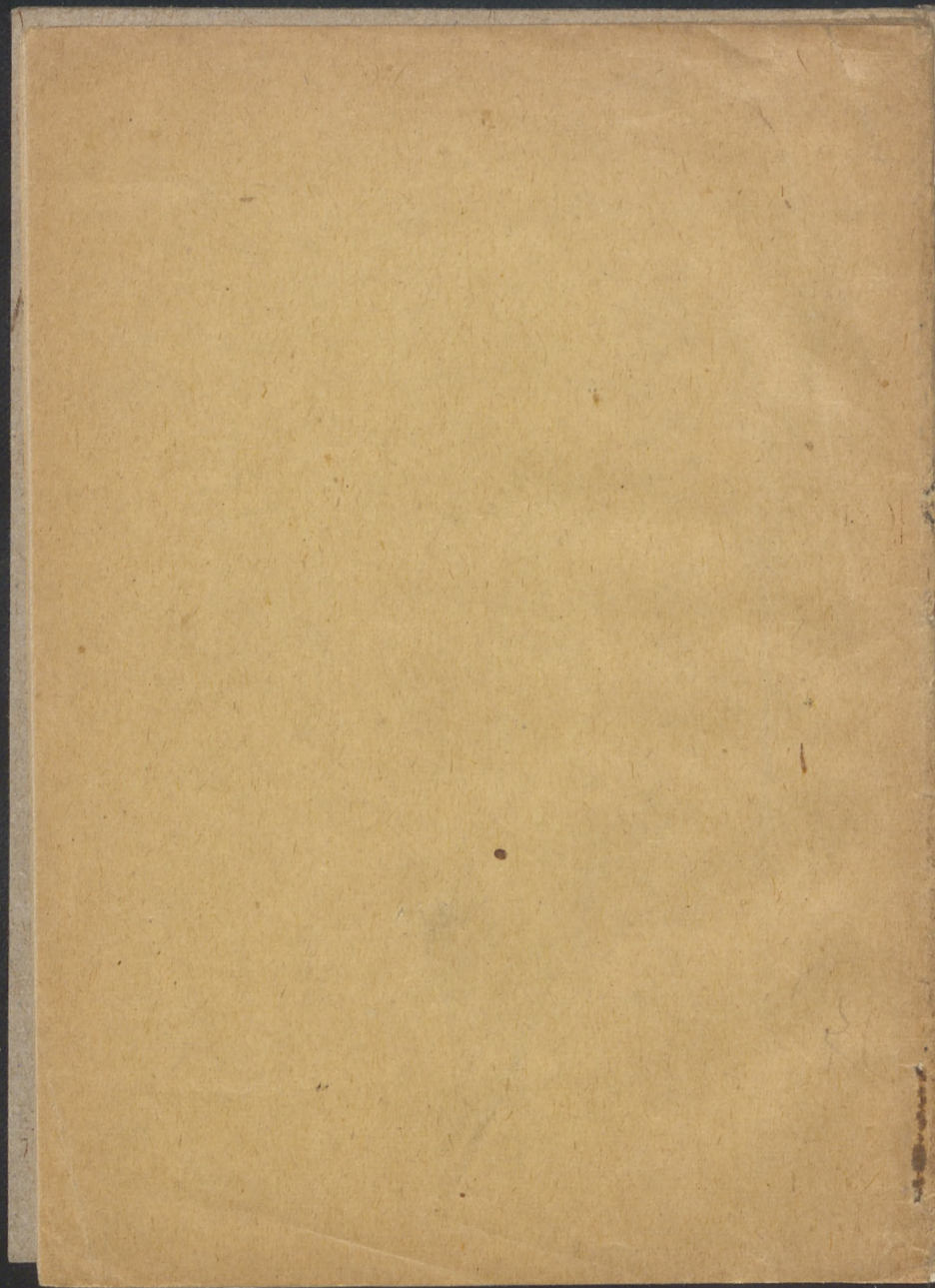
I tej opieki zawsze pewnym być może.

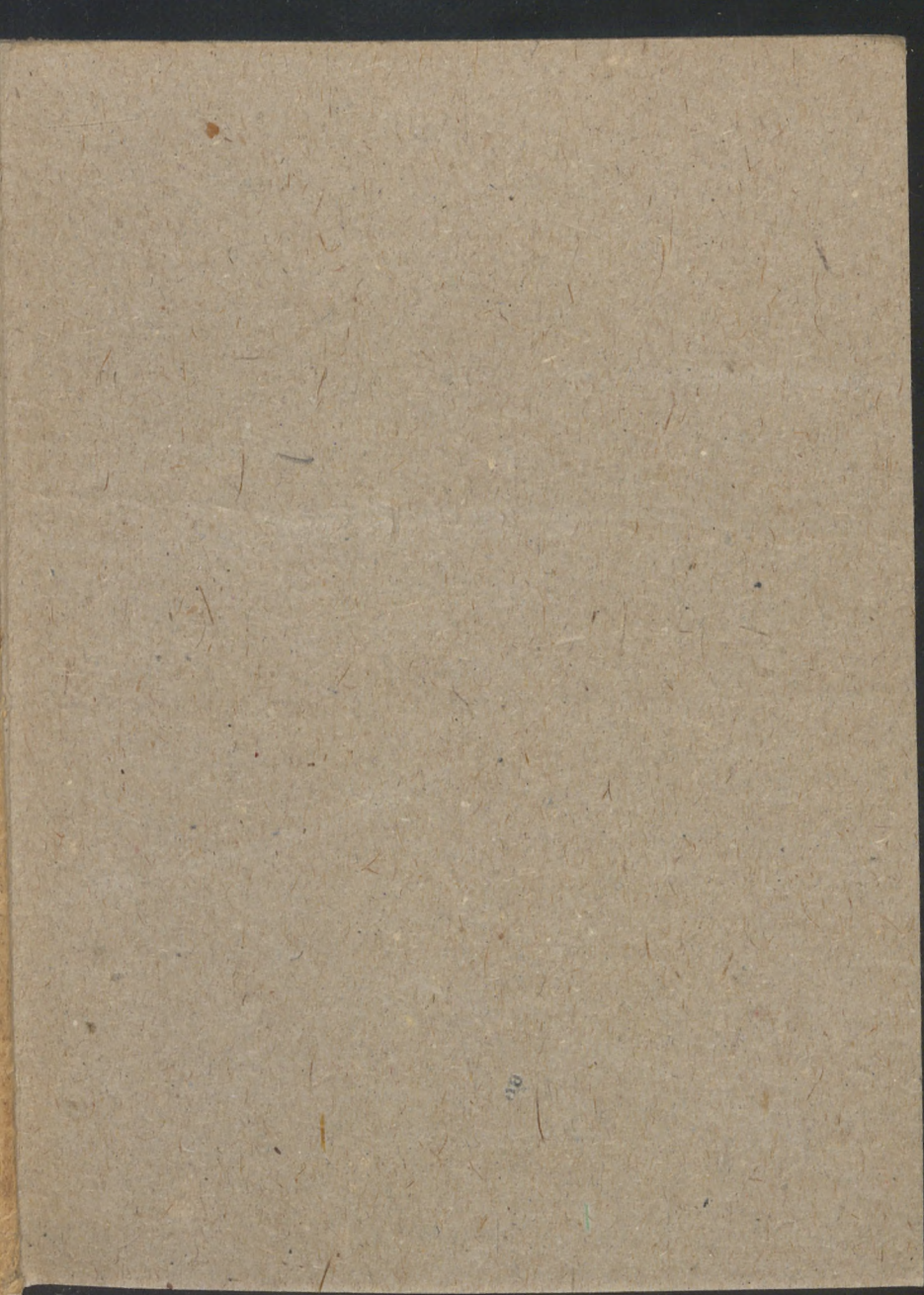
Wiedeń, 20. stycznia 1922.













505258



Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001007756267